

Na Tropie Żuchów

Dodatek do 16 nr. „Na Tropie" Rok VI.

WICI.

Było to strasznie dawno. W olbrzymiej puszczy roiło się od dzikich zwierząt, trzęsawiska i bagna pokrywały kraj. I tylko gdzieniegdzie rozłożyły się małe wioski Słowian.

W jednej z takich wiosek żył sobie dziesięcioletni chłopak — Wodzik. Prawdziwe jego imię było Wodzisław, ale wszyscy nazywali go krótko Wodzikiem. Sprytny był i zwinny, jak mało kto. Pływał tak szybko, że nawet starsi bali się z nim ścigać. A po drzewach łaził prawie tak dobrze, jak wiewiórki.

Razu pewnego o świcie stało się straszne nieszczęście. Od zachodniej strony boru przyszła wojna. Na wioskę napadli ludzie, ubrani w żelazne pancerze i hełmy. I dziać się zaczęły straszne rzeczy.

Wodzik tego wszystkiego nie widział. Razem z matką, babką i gromadką dzieci schował się do pieczary, położonej w gąszczy krzaków niedaleko wioski. Pieczara znajdowała się tak blisko wsi, że słychać w niej było wrzaski niedalekich wrogów i okrzyki słowiańskich wojowników. Nosem chwycić można było zapach spalenizny. Widocznie wrogowie podpalili wieś.

Wodzik, słysząc krzyk bitwy i czując swąd ognia, zaciskał pięści i wyrywał się z rąk matki.

— Tam ojciec i dziadek. Ja też chcę bronić wioski. Przecież dobrze umiem strzelać z łuku i mam dobre strzały.

Nic nie pomogły prośby chłopca, bo co tam malec może pomóc w nieszczęściu? Tylko z nim kłopot — mówiły kobiety w pieczarze.

W południe jęk jakiś rozległ się w pobliżu pieczary, a po chwili ranny Słowianin, kulejąc na krwawiącej nodze, wszedł do schroniska. Kobiety zaraz rzuciły mu się na pomoc i z niepokojem zaczęły się wypytywać o nowiny.

— Nie jest dobrze — mówił ponuro ranny. Nie damy rady Niemcom. Otoczyli nas ze wszystkich stron. Będziem bronić się dzień, dwa. A co potem? Trzebaby dać znak ludziom z innych wiosek, żeby przyszli na pomoc, bo nie zdzierżymy sami. Ja to miałem zrobić. Miałem nieść wici do księcia do grodu. Jużem się przekradł, ależ mnie Niemcy obaczyli i strzałami zakłuli. I co teraz będzie, jakem niezdolny wici nieść? A przecież żadna z was kobiet nie pójdzie na gońca.

Cisza zapanowała w pieczarze. Z przerażeniem patrzyli wszyscy na opowiadającego wojownika.

Naraz z kąta rozległ się mocny, dźwięczny, dziecinny głos:

— Ja pójdę!

I ku wejściu pieczary przepchnął się mały Wodzik i błyszczącemi oczyma patrzał prosząco na wojownika. Jednocześnie podeszła jego matka, mocno objęła chłopca i przytuliła do siebie. Puścić Wodzika? Samego?... Ale jeżeli nie on, to kto pójdzie? Kto chytrze i zwinnie przedrze się przez bór do sąsiadów? Czyby ojciec pozwolił, gdyby tu był? Objęła go jeszcze mocniej i pogłaskała po głowie. Niech idzie!

Milcząco podał wojownik ukryty na piersi pod skumaną pęk wici zielonych.

Wici te — gałązki — były znakiem umówionym całej Słowiańszczyzny i oznaczały zwoływanie w nagłych potrzebach ludu z całej okolicy. Kto je dostał, biec miał niezwłocznie na zbór.

Ranny wsparł się jeszcze, by ujrzeć Wodzika wychodzącego z pieczary i opadł osłabiony utratą krwi. Nikt nie ruszył się z miejsca. Wszyscy jak zaczarowani Wodzikowem postanowieniem, patrzyli długo w jasny otwór jaskini, gdzie już dawno chłopca nie było.

Wodzik znał bór, umiał uciec na drzewo przed niedźwiedziem, czy dzikiem. Znał trzęsawiska i moczary. I co najważniejsze był zuchem. Nie bał się niczego. Nawet nie przemknęła mu myśl, że mogłoby go coś przestraszyć. Czuł tylko na piersi wilgotne liści wici i one to dodawały mu jakby skrzydeł. Wodzik biegł, skakał po wystających korzeniach, przeskakiwał z kamienia na kamień, dawał susa przez strumyki, pełzał na brzuchu pod gęstwą krzaków, wycinał toporkiem przejścia. Wiedział, że będzie musiał iść dniem i nocą. Zdawało mu się, że jest jak dorosły wojownik.

Pędzi tak, ani się obejrzy. Naraz słyszy za sobą jakby ujadanie psa, tylko bardziej chrapliwe i krótkie. Co to? Przystanął. Czyżby już gród? I serce zatrzepotało prędko z radości. Zapadał zmrok i puszcza stawała się coraz czarniejsza. Wodzik przystanął, słucha. Tak. Coś idzie. Para ślepiów, długie cielsko i... wycie.

— Wilk!

Na drzewo! prędzej, prędzej!... Bezpieczny! Ale co z wiciami? Spóźni się do sąsiadów, bo z wilkami nie żarty. Jak zacznie wyć jeden, zlecą się inne całą chmarą, siądą pod drzewem i czekać mogą na niego, póki nie zlezie, choćby noc całą i ranek.

Wszystkie te myśli jak strzały przebiegły przez głowę Wodzika i utkwiła jedna: wici muszą przed świtem być u knezia.

Zsunął się z pnia i szybko jak kula spadł na wilka. Zaszamotało się w ciemnościach; charkot zwierzęcia, sapanie chłopca i chrzest gałęzi — słychać było przez długą chwilę. Nagle wszystko ucichło. Z pod cielska wilczęcego wyciągał się Wodzik ledwie tchnąc. Toporek po drzewce wbił w brzuch zwierzęcia. — Wstał. Przeciągnął ramiona, pomacał głowę i nogi czy całe. I sięgnął za koszulę. Wici. Są! Jakby nowe siły narosły chłopcu.

Jak długo szedł — nie wiedział. Nie wiedział, bo trzymał w ręku wici i tylko o nich myślał. Już i niebo przejaśniać się zaczęło i trochę szarzeć. Las rzedniał. Już! Drzwi pierwszej chałupy na skraju zadudniały od uderzeń pięści Wodzika. W oka mgnieniu zbudził się gród. Nie wierzyli jeszcze Wodzikowi, póki wici nie pokazał. A Wodzik czekał na starszyznę, na knezia i tylko jemu oddał wici.

— Prowadź nas, dzielny chłopcze, — rzekł kneź. Zmęczonyś. Siadaj za mą na koniu.

A Wodzikowi serce jeszcze drżało, czy zdążą, czy przyjadą na czas? Koniom cięż(e)j się posuwać niż pieszym. Czy na południe zdążą? Jechali bez wytchnienia, z koni para buchała, Słowianie z natężeniem nasłuchiwali.

Słychać już z oddali szczęk mieczów i jęki rannych. — A nadewszystkiem góruje okrzyk Niemców: „Hoch!"

Wojownicy słowiańscy zsiedli z koni, zostawili je Wodzikowi pod opieką i cichaczem przedarli się na plac bitwy. Wodzik słyszy znów gromkie „Hoch!"

I nagle... bucha zwycięska pieśń Słowian.

Zwycięstwo!

Wodzik rzuca konie i pędzi na plac walki.

Prowadzą go przed knezia.

— Wodziku, zwyciężyliśmy. Tyś nam pomógł, dzielny mały zuchu!

I dziesiątki ramion podniosło chłopca do góry.

* * *

Dzisiaj niema już Słowian-wojowników, ale niektóre gromady zuchów nie zapomniały o wiciach. Jeżeli chłopcy chcą zwołać się na nagłą zbiórkę, wódz wysyła zucha od jednego domu do drugiego z pękiem gałązek zielonych. Ilość gałązek oznacza godzinę zbiórki. Jeżeli gałązki związane są czerwonym sznurkiem, znaczy, że zbiórka jest „dziś". — Jeżeli szarym — „jutro".

J. Sok.

DZIELNY SZÓSTKOWY.

Opowiadanie pewnego zucha, który dziś jest już harcerzem.

Było nas sześciu. Razem chodziliśmy do trzeciej klasy szkoły powszechnej w Bielczu i tworzyliśmy jedną szóstkę naszej gromady. Bardzośmy się lubili i zawsze każdy z nas starał się być najporządniejszym w klasie. Usługiwaliśmy też sobie jak najczęściej.

Usłużnym zwłaszcza był Heniek, nasz szóstkowy, a ponieważ był też najodważniejszym z nas i najsilniejszym, a przytem umiał najcelniej strzelać z łuku, słychaliśmy go więc zawsze.

Razem tworzyliśmy szóstkę dobraną. Mocniej złączyliśmy się jednak dopiero po jednej przygodzie.

Pewnego razu, a był to dzień słoneczny, zapowiedział druh naszej gromadzie na niedzielę wycieczkę do lasu. W niedzielę tymczasem strasznie się oziębiło i zuchy nie przyszły, tylko stawiła się nasza szóstka. Po otrzymaniu pozwolenia od Wodza poprowadził nas Heniek do lasu, gdzie doskonale bawiliśmy się w leśnych ludzi. Heniek nawet położył się na ziemi skulony i pozwolił nam celować z łuku w jego plecy. Musiało go to pewnie boleć, on jednak ani pisnął, my natomiast, zapaleni żywym celem, tak się staraliśmy, że potem każdy z nas zaraz za pierwszym strzałem trafiał w drzewo z dużej nawet odległości.

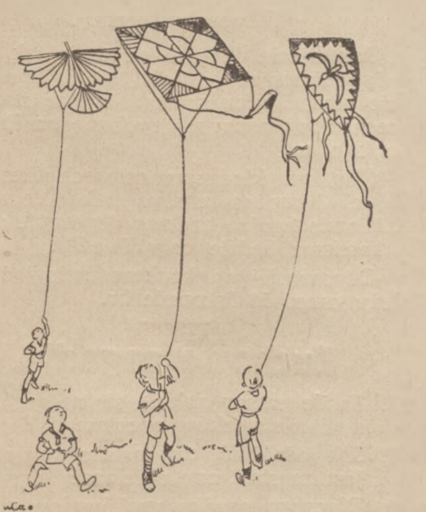
Potem skakaliśmy przez rów napełniony wodą. Szczęśliwie przeskoczyliśmy wszyscy za pierwszym razem, za drugim jednak oberwał się podemną brzeg, obsunąłem się z niego i choć chwyciłem się jedną ręką wystającego korzenia, to drugą wpadłem do wody i zmaczałem sobie cały rękaw i bok marynarki.

Zimno było na dworze i straciliśmy głowy. Nie wiedzieliśmy co robić, a na rozpalenie ogniska nie było czasu, gdyż musieliśmy wracać do domu. Heniek natomiast, nie namyślając się, prędko kazał mi zdjąć marynarkę, a ubrał mnie w swoją.

W drodze do domu Heniek ani słowem nie okazał, że mu jest zimno bez marynarki. Patrząc na niego myślałem sobie, że Heniek to jednak zuch prawdziwy.

Odtąd jedynem mojem marzeniem było stać się takim, jakim był szóstkowy Heniek.

Miedziński Feliks.



Majster Klepka.

Jestem sobie Majster Klepka,
Kleję i hebluję.
Mam nóż ostry, młotek, gwoździe,
tak sobie majstruję.
Szable, łuki, hełmy, szczudła,
Wszystko pięknie, zgrabnie,
Choć nożykiem i piłeczką
Lecz dobrze wypadnie.

W. Gembołyś.

Majsterklepki.

Dwóch zuchów majstruje zawzięcie. Robią karmik dla ptaków, bo prędko zacznie się zima i ptakom trudno będzie o żywność.

Jeden zuch: „Franek, co zrobić, żeby przy wbijaniu gwoździa nie uderzyć się młotkiem po palcach?“

Drugi zuch: „Ojej, wielki kłopot! Weź młotek w obie ręce, to się nigdy nie uderzysz“.

NOWINY ZUCHOWE.

1. **Zdrada?** W Zakopanem zeszłego roku powstała nowa gromada zuchów. Gdy zakładano gromadę, wódz zebrał wszystkich zuchów w lesie na Gubałówce i w tajemnicy wielkiej, pod dużym, starym smrekiem, spisał dokument o założeniu gromady. Dokument pisano gęsiem piórem, atrament był czerwony, jak krew. I każdy zuch umaczał swój wielki palec w czernidle i odcisnął nim znak na dokumencie.

Jak już dokument założenia gromady był gotów, zakopano go głęboko pod jednem znacznem drzewem w głębi lasu. I wszystkie zuchy przyrzekły nie zdradzić tajemnicy dokumentu.

Wszystko było dobrze. Jak coś ważnego działo się w gromadzie, to zbierały się zuchy w swem tajemnem uroczysku koło zakopanego dokumentu i tam radziły.

Aż naraz, przed tygodniem, straszna nowina gruchnęła wśród zuchów: dokument zginął. I teraz jest wielkie wrzenie w gromadzie, bo zuchy i wódz przypuszczają, że to jakiś wróg dowiedział się o ich tajemnicy i wykopał dokument. A może to zdrada?

W każdym razie zuchy zakopiańskie oczekują wkrótce jakichś wielkich wydarzeń.

2. **Zuch złapał zająca.** Razu jednego zuchy z Szopienic wybrały się na wycieczkę do lasu. Gdy szli polem wyskoczył zza grzędy zając. Zuchy odrazu podniosły taki wrzask, że zając zupełnie nie wiedział gdzie ma uciekać. Podskoczył wtedy do niego zuch Zański i prędko schwycił w ręce. Zając był złapany. Ma się rozumieć, zuchy z Szopienic nic złego zającowi nie zrobiły i, nacieszywszy się nim trochę, puściły go wolno.

3. **Zaduszki.** W niektórych gromadach jest taki zwyczaj, że gdy przyjdzie dzień zaduszny, zuchy idą na cmentarz i porządkują wszystkie groby, nie mające opieki. Gdy groby są już oczyszczone, zuchy zapalają na nich świeczki. A świeczki stoją w latarniach z kolorowego papieru, które zuchy same zmajstrowały.

Zwyczaj ten jest ładnym zwyczajem zuchów.

4. **Saneczki i łyżwy** z klocków drzewa zaczęły już robić w swoim warsztaciku zuchy pewnej gromady poznańskiej. Zuchy te zawczasu szykują się do ćwiczeń zimowych. Gdy spadnie pierwszy śnieg, chłopcy będą już napewno gotowi do ciekawych zbiórek zimowych.



Konkurs.

Układanie depeszy.

Jak wiecie depesze pisze się tak, aby użyć najmniejszej ilości słów. Spróbujcie ułożyć taką krótką depeszę z czterech słów, zaczynających się na litery: c, k, p, m.

(Dla przykładu: z czterech liter: a, b, c, d można ułożyć taką depeszę: „Adamie bardzo czekam depeszy", albo: „Aptekarz będzie cały dzień").

Odpowiedzi na konkurs nadsyłać należy przed 10 listopada br.

Zuchowe zagadki.

1. Za ile groszy nalepia się na zwyczajny list znaczków pocztowych?
2. Jak odróżnić, czy ostrze scyzoryka jest ze stali, czy z żelaza?
3. Dlaczego oznaką zuchów jest głowa wilczka?